Nr. 12. Lwów w grudniu 1897. Rok XX.

ŁOWIEC

J. MAKAREWICZ 97

Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

 ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. 

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

Odezwa do Członków.

Dobiegamy do końca r. 1897, który jest rokiem reorganizacyi Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego, a więc ważnym etapem w dziejach jego rozwoju, rodzajem mety, od której liczy się nowa jego era. Blisko rok pracy, podjętej przez Wydział pod hasłem zapewnienia Towarzystwu jak najświetniejszego rozkwitu, pozwala już na skromny bodaj bilans osiągniętych rezultatów, które zarazem powinny stanowić ilustracyę: czego jeszcze nie osiągnięto i co pozostaje do zrobienia. Nie do nas oczywiście należy sąd o naszych własnych usiłowaniach — pozostawić to musimy obszerniejszemu forum, bo ogółowi członków naszej instytucyi, a ograniczymy się jedynie do zrejestrowania dokonanych faktów i do wypowiedzenia naszej opinii o tem, w jakim kierunku powinna prowadzić się dalsza, daj Boże jak najwydatniejsza praca dla dobra Tow. łowieckiego. W ciągu ubiegłych od reorganizacyi Towarzystwa miesięcy, Wydział dokonał zmiany statutu, który dziś daje szerszy zakres działaniu Towarzystwa; skupił swoje siły w energicznej akcyi przeciw grasującemu w naszych borach na tak rozległą skalę kłusownictwu; dalej urządził pierwszy w naszym kraju Zjazd łowiecki, który ma tę niepospolitą zasługę, iż zbliżył do siebie sfery łowieckie i zacieśnił pomiędzy poszczególnemi grupami i jednostkami serdeczne węzły towarzyskie, a nadto rzucił niejedną myśl pożyteczną. W kierunku gospodarczym Wydział starał się usilnie o rozmnożę kuropatw i wogóle czynił na każdym kroku usiłowania, aby Towarzystwo łowieckie jak najwyżej podnieść i zapewnić łowiectwu naszemu takie same stanowisko, jakie zajmuje łowiectwo we Francyi, w Niemczech i w innych krajach zachodnich. Najintensywniej jednak skupiła się działalność Wy-

działu około podniesienia organu naszego Towarzystwa: czasopisma „Łowiec“, którego rozwój zarówno pod względem literackim, jakoteż technicznym, spotyka się z coraz częstszem uznaniem ogółu członków. Wspomnieliśmy już, iż ocenienie działalności naszej nie do nas należy, ale zaznaczając na tem miejscu z całym naciskiem gorącą chęć służenia interesom łowiectwa, jaka ożywia wszystkich członków Wydziału, musimy równocześnie zwrócić się do naszych szanownych towarzyszy łowieckiego sztandaru z przypomnieniem, że od nich to w pierwszym rzędzie zawisł los i rozwój Towarzystwa i z serdeczną, gorącą prośbą o współdziałanie i pomoc, któreby nam pozwoliły wykonać cały, rozległy, a nawet częściowo jeszcze niezrealizowany program. Współdziałanie i pomoc są obywatelską powinnością, dlatego apelujemy o nie w imię obowiązku, którego poczucie z pewnością ożywia wszystkich członków Towarzystwa łowieckiego. Dotąd niestety — mimo bezsprzecznego postępu, ożywienia i zmiany na lepsze — daje się jeszcze odczuwać pewna apatya, z którą powinni walczyć wszyscy członkowie, posiadający dobrą wolę i życzliwe chęci dla Towarzystwa — a w pierwszym rzędzie delegaci nasi. Do nich zwracamy się z szczególniej gorącym apelem, aby nie ustawali nawet na moment w pracy i starali się o pozyskiwanie coraz to nowych członków. Niestety apel ten jest tem potrzebniejszym, że ze smutkiem przychodzi nam skonstatować, iż bardzo wielu delegatów nie wysłało Wydziałowi żadnych sprawozdań. Nie tracimy jednak otuchy w lepszą przyszłość, w coraz to żywszy rozwój naszego Towarzystwa, a że jest grunt po temu i że nadzieje nasze opierają się na realnym gruncie, o tem świadczą liczne korespondencye, nadsyłane do „Łowca“ i będące nieustannym kontaktem pomiędzy ogółem członków a organem Towarzystwa. Na tej podstawie oparci — zanosząc raz jeszcze serdeczną prośbę do braci łowców o poparcie pracy Wydziału — wołamy z głębi duszy: W górę sztandar łowiecki!

Lwów, 30. listopada 1897.

Od Wydziału galic. Towarzystwa łowieckiego.





SARNA.



POGADANKA.

I co tu o sarnie pisać, kolegom myśliwym? Najpierw wszyscy ją znają, a powtóre ona nie służy i nigdy służyć nie powinna za cel myśliwemu. Tem samem nie jest ona sztuką myśliwską, ale — bądź co bądź — nią interesuje się każdy dobry myśliwy, lubi ją i hoduje. W zimie, kiedy brak pożywienia, to każdy z nas radby jej wywieźć trochę paszy w postaci siana i cieszy się, jeżeli sarna przez ten zły czas ładnie się przechowała. Inna atoli rzecz jest z kozłem. Tego się strzela, bo on już jest sztuką myśliwską i to mającą większe znaczenie.

Ażeby zaznaczyć o ile myśliwy interesuje się „sarniną“ niech już to służy za dowód, że dla obu rodzai powynajdował rozmaite nazwy. Ubiwszy zająca powiada się: „strzeliłem zająca“, bez względu czy to samiec czy samica. To samo jest z lisem. Natomiast, kiedy ubije się samca sarniego rodu, to mówi się „ubiłem kozła“ lub „ubiłem capa“... Dlaczego „capa“ trudno to określić, boć przecie kozioł nie ma najmniejszego podobieństwa z capem we właściwem znaczeniu tego słowa. A i sarnę także tak zwanem „prawem kaduka“ nazywamy „kozą“. O ile zaś ta koza jest sympatyczną dla nas starych myśliwych, niech to będzie dowodem, że młode dziewczątka zgrabne i ruchliwe nazywamy „kozami“, a jeżeli bardzo je lubimy „kozuchnami“. To tylko jedno jest smutne, że one, te owe „kozuchny“ później przemieniają się w tak zwane „gąski“, co dałoby się poniekąd wytłómaczyć, lecz ze względu, że gęś domowa, a nie można zaprzeczyć, że owe „gąski“ są „domowe“ — nie jest przedmiotem gawęd myśliwskich, przeto tłómaczyć tego szanownym czytelnikom nie będę.

Przypatrując się bytowaniu sarn i badając ich sposób życia i zwyczaje, musimy przyjść do tego przekonania, że sarna nietylko jest zgrabną, lekką i zwinną, ale przyznać jej to musimy, iż ma pewien stopień inteligencyi, o ile to słowo da się do zwierząt zastosować. — Proszę przypatrzyć się tylko jak sarna broni przed lisem swego potomstwa. Jest to o tyle ciekawe, że to stworzenie tak łagodne i tak płochliwe, w obronie dzieci zdobywa się na odwagę. — Bywa tak. Jeżeli sarna spostrzeże, że lis za nią i jej koźlętami się posuwa i do nich zbliża, ona pyszczkiem popycha swe młode naprzód, a sama staje frontem do lisa i robi srogą minę. — Z całą odwagą, której dodaje jej miłość macierzyńska, podsuwa się do napastnika i zdobywając się na animusz tupie nóżkami, drapie liście lub śnieg, tak, — że się daleko rozlatuje i tą bundziuczną miną potrafi lisa, który choć sprytny — ale jest tchórzem — odstraszyć i odpędzić od swoich młodych sarniątek.

Dużo także i to może dawać do myślenia, że sarna wszelka w sezonie letnim nie jest tak płochliwą, jak w miesiącach, kiedy strzelec włóczy się po kniei. Możnaby postawić wniosek, że one wiedzą, kiedy myśliwy idzie do lasu, by na nie polować, a kiedy mu to jest wzbronione. Zajączek jest zawsze jednakowo tchórzliwy, lis jednakowo chytry i ostrożny, a sarna swem zachowaniem do wodzi czegoś zupełnie innego. Mniemaćby można, że ona w kwietniu, maju i w ogóle miesiącach lętnich wie o tem, iż ten człowiek, co się z kniei ukazuje, nie jest jej wrogiem i tępicielem. A przecież ta sama sarna w jesieni lub w zimie, za najmniejszym szmerem zrywa się i ucieka. W owym czasie biedactwo w człowieku widzi swego wroga i całych sił dokłada, aby jak najszybciej uciec od niego. A idąc jeszcze dalej, kiedy się mówi o sprycie sarn, który zwę ich inteligencyą, czyż zastanowić się nie należy i nad tem — jak one zręcznie z miotu wychodzą. Tu i ówdzie zdarza się, że samiec sam jeden wyskoczy na linię strzelców, lecz to są odosobnione wypadki. — Najczęściej

pod naganką wychodzi kilka sztuk W rodzinach zwierzęcych bywa, że zwykle samiec idzie przodem, samica zaś i ich potomstwo postępują za nim. U sarn jednakże jest inaczej. Jak gdyby wiedziały o tem, że samicy strzelać nie wolno, zwykle — idą gromadką — jedna wysuwa się naprzód, czasem jeszcze i druga, a dopiero za niemi pędzi, reszta gromaki, ale tak zwarto, że nie rzadko się zdarzy, iż trudno wybrać na strzał z pomiędzy nich kozła, bo myśliwy się boi, żeby, strzelając do niego, nie ubił, a co najmniej, nie postrzelił kóz.

Jak wiadomo sarna korzysta cały rok z przepisów ochronnych. Inna rzecz jest z kozłem. Ten ma bardzo krótki czas, w którym strzelać go nie wolno. Co do tego ścierają się zdania znawców zwierzyny, bo jedni twierdzą, że za wiele jest kozłów, co źle oddziaływa na mnożenie się sarn i że na tem młode kozy cierpią. Natomiast drudzy utrzymują wprost przeciwnie, że tępienie kozłów niemal przez 10 miesięcy w roku jest bardzo szkodliwe. Z pierwszem zdaniem najwięcej spotkać się można w niemieckich fachowych pismach. Nasi zaś myśliwi upierają się przy drugiem twierdzeniu i, idąc dalej, radzą — stare, bezpłodne kozy odstrzeliwać. Tłumaczą to tem, że takie kozy zupełnie jałowe, za dużo absorbują samców, zwłaszcza młodych. Uważają więc za potrzebne i nader wskazane kozy takie, za któremi nie zdarzy się młodych na żerowisku spotykać i które jesienią włóczą się samotnie po kniei, strzelać, gdzie się da, a nawet kiedy się da.

Ci sami myśliwi dążą do tego, ażeby zmienić obecnie obowiązującą ustawę łowiecką o tyle, by wolno było sprzedawać kozy, które ważą najmniej 25 klg. po wypatroszeniu. Jest bowiem rzeczą udowodnioną, że sarna tyle ważąca, jest stanowczo już jałową i rzeczywiście przynosi tylko szkodę a nie pożytek.

Ja w mojej pogawędce nie chcę zabierać głosu rozstrzygającego w tej kwestyi, bo jakkolwiek więcej ma się możności dać strzałów na polowaniu, gdzie jak na przykład w Królestwie Polskiem i w całej Rosyi wolno strzelać sarnę i kozła, gdyż tam nie ma ustawy łowieckiej, takiej, — jak u nas, to przecież jakoś myśliwemu niemiło się robi, kiedy kozę ubije. Nawet i tam cieszy się każdy więcej, jeżeli celnym strzałem capa położy.

Lecz sądzę, że przy obecnie rozwijającym się tak silnie kłusownictwie, nie potrzeba prowadzić sporów akademickich w tej materyi, a mianowicie: czy strzelać kozły, czy kozy?.. Kłusownicy wybiją jedne i drugie, a co nie wystrzelają, to wyłowią na kozulki. — Taki drut nie wybiera, a co w niego raz się zadzierzgnie, to już przepadło. Taka kozulka, to stanowczo największy tępiciel sarn, bo kłusownika mało bardzo kosztuje, więc też wobec tego może ich mieć dużo i zastawiać po kilka, a nawet po dwadzieścia na wszystkich ścieżkach i przesmykach. Z drugiej znów strony, jest to tępienie tak ciche, że nie sprawia żadnego hałasu, a co zatem idzie, nie sprowadzi straży leśnej na miejsce zasadzki.

Po za kłusownikami, których niestety! coraz więcej się mnoży, sarna ma jeszcze innych nieprzyjaciół, które ją niemal gromadnie tępią. W pierwszej linii, zaznaczyć trzeba wielkie śniegi, głębokie, które powodują przemrażanie piszczeli u sarn. To sprowadza na nie tak ciężką chorobę, że z nadejściem wiosny chodzić nie mogą i marnie giną. Przełamawszy piszczel takiej sarny, którą znajdzie się gdzieś w krzakach, zobaczymy w śrrodku tam, gdzieby się trochę szpiku znajdować powinno, jakieś zabarwienie czerwone od krwi. — Oprócz tego giną sarny od motylic, jak zwykłe owce i chociaż stosuje się tak zwane „lizawki", jako antidota przeciw tej chorobie, to przyznać to musimy, że nie wiele ma się z tego pożytku.

Lecz mówiąc o sarnim rodzie trudno myśliwemu, który *eo ipso* las kochać powinien, nie wspomnieć o tem, że te, tak niewinne stworzenia, są ogromnemi szkodnikami leśnemi. W kompleksach większych leśnych, gdzie prowadzoną jest gospodarka prawidłowa, sadzi się — lub sieje co roku większe przestrzenie drzew szpilkowych, zwłaszcza sosny. Roślinki te zapowiadają się świetnie, rozwijają się ku wielkiej uciesze leśnika, a kiedy dojdą do tej wysokości, że już sterczą nad śnieżną powłoką i z ponad śniegu swą zielenią zaznaczają się wesoło na powierzchni, przychodzą całe stada sarn i najswobodniej obgryzają czubki młodych roślinek. One nie wiedzą o tem, że wyrządzają w ten sposób straszną krzywdę, bo prowadzenie takich kultur leśnych nie tylko, że bardzo dużo kosztuje, więej, niż te wszystkie sarny są warte, ale wobec tego niszczenia, trudno dojść do dobrych i smukłych młodników.

Lecz z tem wszystkiem hodujmy sarny, bo coby to było za łowiectwo u nas, kiedy brakło nam już niedźwiedzi, wilków, kiedy już jeleń należy do rzadkości, a tylko jeszcze tu i ówdzie jakiś zabłąkany dzik się pojawi. — Skazanibyśmy byli tylko na szaraki, których także coraz mniej jest u nas i zdaje się, że będziemy musieli pomyśleć na sposób francuski o hodowli królików szarych, imitujących zające. — Kończę też mą pogadankę serdecznem życzeniem, aby w naszych lasach jak najwięcej było kóz a i w domach naszych żeby było można spotykać dużo domowych „kóz", zwanych, jak to wyżej powiedziałem, „kozuchnami".

K. Kozierowski.

Polowanie Augusta Mocnego.

Jesień — sezon polowań! — mówi sobie myśliwy współczesny i, wziąwszy na ramię dwururkę, idzie na zająca, co to siedzi pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą, lub przez pół dnia ze znarowionym wyżłem ugania się za stadkiem suchotniczych kuropatw. A gdy mu się uda przytroczyć do torby kota lub kuropatw parę, powraca dumny z siebie i z trofeów, uważając się za strzelca z Bożej łaski i niebezpiecznego Djany-Łuczniczki współzawodnika.

Inaczej *in illo tempore* bywało!

W XVII-em naprz. stuleciu słynne były polowania na jelenie, roztaczano na nich zbytki nadzwyczajne. Księżna Orleańska w pamiętnikach swoich opowiada, iż w ciągu czterech lat była obecna przy śmierci tysiąca rogaczy. Rachunki pozostałe na dworze elektora saskiego wykazują, iż od r. 1611-go do 1656-go jego elektorska mość położył własną ręką w okolicach Drezna 110,960 sztuk grubej zwierzyny, tak na polowaniach z naganką, jak *par force*.

Ale nie na liczbę zwierzyny zwracano wówczas głó-

wną uwagę: przedewszystkiem chlubą dla strzelca było kłaść sztuki nadzwyczajnej wielkości i piękności. Dziś z powodu wytrzebienia lasów, a więc skarlenia zwierzyny, okazów takich nie znalazłbyś na terytoryum Europy. Najpiękniejsze sarny węgierskie, — a sarny węgierskie do najpiękniejszych dziś należą! — nie ważą więcej nad 300 funtów, gdy tymczasem Jan Jerzy Saski nie bił zwierzyny, któraby ważyła niżej 850 funtów. To samo można powiedzieć o wilkach, dzikach, niedźwiedziach i innej „zacnej zwierzynie“, od której roiły się knieje królewskie i magnackie. Jednemu z elektorów saskich ofiarowano koronę czeską. „Jakto? — zapytał — ja miałbym panować nad krajem, w którym sarny i jelenie są brzydsze, niż w Saksonii? Nigdy!“ I odmówił. — Tak przynajmniej mówi podanie.

Najpiękniejsze rogi jelenie uważane były za trofea myśliwskie nie mające ceny. Przechodziły one z ojca na syna, jako pamiątki rodzinne. W przedsionkach i sieniach zamkowych rogi jelenie i łosie na pierwszem zawieszano miejscu, a im rogów tych suciej, tem gospodarz dzielniejszy. Wiadomo, iż kiedyś elektor saski dał elektorowi brandeburskiemu za piękne rogi całą kompanię grenadyerów, i to nie byle jakich, bo wybieranych z całej Saksonii, jak igły z korca maku, aby wzrostem i siłą nie przynieśli wstydu gwardyi królewskiej. Kiedyś znów za głowę jelenia pewien książe wirtemberski dał całą wioskę z polami, lasami, a nawet, jak zapewnia jowialny kronikarz, „z pastorem, bocianem na kole i mieszkańcami“. Wiadomo również, iż pewien książe pomorski ofiarował jakiemuś pankowi francuskiemu za niezwykłe rogi jelenie 625,000 fr. i — odszedł z kwitkiem, bo posiadacz rogów uważał, że suma jest zbyt niska.

Dochodziło do tego, iż na miejscach, na których padały wyjątkowo piękne sztuki zwierzyny, wznoszono kolumny pamiątkowe, kościoły i klasztory na wieczną rzeczy pamiątkę.

Kobiety na równi z mężczyznami brały udział w uciechach myśliwskich, (*vide* choćby „Krzyżaków“ Sienkiewicza). Najulubieńszą rozrywką dam na dworze elektorów saskich były tak zwane „skoki lisie“. Zabawa polegała na tem, iż myśliwi zgromadzili się około pola, otoczonego płotami z chrustu, naganka zaś napędzała na owe pola zwierzynę. Damy zasiadały w tak zwanych „koszach“ czyli namiotach, zbudowanych na palach dość wysokich, mężczyźni zaś stawali przy wejściu na polko, trzymając w ręku długie pasy płócienne. W chwili, gdy spłoszona zwierzyna wpadała na polko i wbiegła na szereg pasów, trzymający płótna, pociągali silnie końce ku sobie, pasy wyprężały się a przebiegająca po nich zwierzyna, wyrzucana gwałtownie w górę, zabawne wyprawiała skoki. Wynalazcą tego „sportu“ był August Mocny, przyszły król polski, który zwykł był jednym palcem trzymać jeden koniec pasa, dwaj zaś żołnierze trzymali koniec drugi. Gdy przyszła chwila właściwa, August jednym palcem pociągał za płótno tak mocno, że obaj żołnierze padali jak długi na ziemię.

Zabawa nie była tak niewinną, jakby się komuś zdawać mogło Dopóki lis wyprawiał skoki, niebezpieczeństwa nie było. Gdy jednak dostał się w szranki chruściane dzik lub kot dziki, rzecz stawała się groźniejszą. Doprowadzony do szału dzik rzucał się na myśliwych, a kot — jak mówi jeden z pamiętnikarzy — nie dostarczał wielkiej uciechy. bo „zwykle tak wpijał się pazurami w płótno iż, pomimo wszelkich wysiłków myśliwych, niepodobna było podrzucić go do góry, a i trzeba się było strzedz, aby nie wpadł na myśliwych, bo wówczas pokąsanych łydek nie brakowało.“

Inne czasy, inni ludzie i inne polowania...



DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał
ABGAR SOŁTAN.

[Dokończenie].

Lecz Ilko nie miał widocznie najmniejszej ochoty do wystawiania swych rękawów i... na niebezpieczeństwo zniknięcia z powierzchni ziemi. Zaczął mi coś niewyraźnie opowiadać o żonie i dzieciach, o niebezpieczeństwie i paniczowskiej lekkomyślności, a ostatecznie sens tego był taki, że zupełnie nie zamyślał drapać się na skałę po strzelbę. Rozpacz nas zaczęła ogarniać. Kondraszek wiedział, że nie potrafi nawet tam doleść, ja z obdartemi rękoma i nogami nie miałem najmniejszej ochoty narażać się powtórnie na taką miłą jazdę. Zresztą czułem, że to przekracza moje siły... Odwaga była mnie opuściła zupełnie. Pospuszczaliśmy głowy i zamyśliliśmy się obaj głęboko w jaki sposób wybrnąć z tego trudnego położenia. Przychodziło mi na myśl, że jeden z nas musi tu zostać i wzrokiem pilnować strzelby, a inni muszą wrócić do wsi i znaleść amatora, który za pewne wynagrodzenie podejmie się tej karkołomnej ekspedycyi.

W tej chwili do mych uszu doleciał odgłos piosnki ludowej, nuconej na szczycie skały. Spojrzałem w górę — nie mogłem nic dojrzeć — skała była za prostopadłą. Usiedliśmy więc na łódkę i odpłynąwszy od brzegu, badaliśmy wzrokiem szczyt góry. Na wierzchołkowej pochyłości zarosłej trawą i rzadkimi krzakami dereniu i tarniny, pasło się kilkadziesiąt owiec i uwijali się pomiędzy nimi wiejscy chłopacy. Zaczęliśmy na nich wołać, aż dopiero głos Ilka zwrócił ich uwagę na nas. Upłynęło dobre pół godziny, zanim udało się Ilkowi wytłumaczyć chłopakom, o co nam chodzi i skłonić jednego z nich, żeby za cenę jednego rubla zdecydował się spuścić na dół, zabrać w pół góry strzelbę i znieść ją do nas nad rzekę.

Nie potrzebuję opisywać naszej uciechy, gdy nareszcie ta transakcya stanęła i mały pastuszek besarabski wziął się do dzieła. Nie pamiętam, żeby co w życiu tak bardzo mi zaimponowało, jak owa wyprawa kilkuletniego chłopaka. Zaczął od tego, że zrobił sobie z gałązek dereniu zupełnie prymitywny krzyżyk i wziął go w zęby. Wnet potem zaczął się spuszczać na dół. Spuszczanie to odbywało się zupełnie nie w ludzki sposób... Nie widzia-

łem żadnego człowieka, żeby to mógł z taką zręcznością i swobodą wykonywać. Lazł jak kot, jak żbik, może jaka małpka, to przełaził, to przeskakiwał z załomu na załom, z przyłęczy na przyłęcz, a robił to tak lekko, tak zgrabnie, że nawet żaden kamyk z pod nóg mu się nie usunął.. Podziwiałem go i zazdrościłem mu tej niezwykłej zręczności. W przeciągu kilku minut zlazł ze szczytu do pół góry i wziąwszy strzelbę w ręce, z tą samą łatwością spuścił się do nas.

Z radości uściskałem chłopaka. Zamiast rubla dałem mu trzy i uradowanego nadmiernie puściliśmy w górę do owiec. Z tą samą łatwością, co spuszczał się, powracał on w górę, a z wielkiej radości nucił sobie przez całą drogę jakąś piosenkę, o dziwnie tęsknej, żałosnej nucie.

Załatwiwszy w tak szczęśliwy sposób tę sprawę, postanowiliśmy nie próbować dalej myśliwskiego szczęścia, ale wracać do domu. Zadanie to nie było także łatwem. Zrozumiałem po przedstawieniach Kazika, że jeżeli zjawię się w domu w takim stanie: okrwawiony, pokaleczony na wpół nagi, to mimo największej wyrozumiałości i pobłażliwości mej kochanej matki, koniecznie wywołam zakaz dalszych myśliwskich wycieczek.

Wyglądasz jak potępieniec, wypuszczony z piekielnego przedsionku — mówił żartując wesoło — i jeżeliby cię w tym stanie zobaczyła panna Zofia, to już jej rzecz, żeby wymódz na twej matce oddanie cię pod jej własną kuratelę.

Możliwość dostania się pod kuratelę panny Zofii sprawiła, że poddałem się całkowicie woli mego przyjaciela i robiłem bez wahania to, co on kazał.

Usiadłem więc do łodzi w stroju adamowym i odarte ze skóry członki wystawiłem na promienie słońca, pilnując tylko uważnie, żeby na nie muchy nie siadały. Zdrowe ciało wnet zaczęło się zastrupiać. Krew przestała się sączyć, rany w przeciągu pół godziny przyschły. Tylko zastrupione miejsca przy najdrobniejszym ruchu bolały mnie dotkliwie, tak, że z trudnością ruszać się mogłem.

Żegluga z powrotem przeciw biegowi rzeki szła wolno, tak, że upłynęły dobre trzy godziny, zanim wylądowaliśmy na własnym brzegu.

Tu dopiero położenie stało się zupełnie dramatycznem, prawie tragicznem. W jaki to sposób w tak pierwotnym stroju wyleść na brzeg? Stanęło na tem, że ja i Kazik ukryliśmy się w kukurudzy leśnego Kilawskiego, rosnącej nad samym Dniestrem, a Ilka wyprawiliśmy z kartką do panny Anny, żeby mi przysłała jakie ubranie, w którem mógłbym się dostać do domu.. Musiałem przedstawiać szalenie komiczny widok, zupełnie nagi, okrwawiony, z pozasychanemi, czarnemi plamami krwi, i z dwoma gołębiami dzikimi, które miałem zawieszone na szyi... Ze zdobyczą mą nie chciałem się w żaden sposób rozłączyć, obawiałem się, żeby mi jej kto nie skradł. Troskliwość ta nie wyszła na dobre owym gołębiom i pociągnęła za sobą fatalną dekonfiturę, która zostawiła w mej pamięci najsmutniejsze wspomnienie i finał mych awantur myśliwskich, doświadczonych w towarzystwie Kazia Kondratowicza.

Pamiętam, że czas oczekiwania na Ilka wydał mi się okropnie długim. Zjedliśmy tymczasem zaschniętą kiełbasę i półgąski do ostatniego płatka, spróbowałem napić się wódki z manierki, ale ta wywołała we mnie takie obrzydzenie, żem wypluł cały haust i czułem go jeszcze pewnie ze trzy doby. Ostatecznie na godzinę przed wieczorem zjawił się Ilko. Sprawił się bardzo dobrze, przyniósł wszystko, co mi było potrzebne, i równo z zachodem słońca, ze zdobyczą myśliwską i dobrą miną wróciliśmy do domu.

Siostry po prostu podziwiały nas, tylko panna Zofia dość sceptycznie zapatrywała się na naszą wyprawę i na jej rezultat.

Takie same, albo i lepsze dwa gołębie przyniesie Franek „z pod kucharza" za dwie minuty ze strychu — mówiła uśmiechając się drwiąco — nie rozumiem więc celu, żeby na to cały dzień tracić i niszczyć ubranie...

Zrozumiałem niestety, że już była uwiadomiona o tajemniczej misyi Ilka pobereżnika.

Przycinki panny Zofii puściłem obojętnie mimo uszu... Cała myśl moja zajęta była układaniem sposobu przesłania mej zdobyczy pannie Jadwidze. Pod pozorem więc zmęczenia pożegnaliśmy dość wcześnie panie i wynieśliśmy się do oficyny.

* * *

Po długiej naradzie z podrwiwającym z mego zapału Kondrasikiem, stanęło za tem, że nazajutrz rano Ilko odniesie gołębie do pani Okszyńskiej i odda je wraz z listem, który ja muszę napisać i opisać w nim w jaki tragiczny sposób doszliśmy do tej zdobyczy.

Zasiadłem do pisania listu. Zdarłem pewno ze dwadzieścia ćwiartek papieru, wreszcie skończyłem Nie mogłem go dać do przeczytania Kazikowi, bo spał już od dwu godzin snem kamiennym... Żałuję bardzo, że nie pamiętam słów tego listu... Pisany był stylem górnolotnym i politycznym, a to pod wpływem czytanych wówczas powieści Czaykowskiego, „Agaj - Hana" i listów z Włoch Kremera... Samo polowanie opisane było z łatwą do wytłumaczenia młodzieńczą przesadą, a cały musiał sprawiać arcykomiczne wrażenie... Z komizmu tego nie mogłem jednak wówczas zdać sobie sprawy, sądziłem, że list mój jest wprost arcydziełem stylu i poetycznego polotu. Była tam wpleciona i przejrzysta aluzya, z której pani Okszyńska jasno zrozumieć mogła, że narażałem moje życie wyłącznie w tym celu, aby tem przypodobać się pannie Jadwidze i niesmaczny dodatek, skierowany wprost już prawie do panny, wzywający ją, żeby zjadając te gołębie pomyślała o tym, który nie żałował trudu, żeby je zdobyć. Jednem słowem — list był głupi kolosalnie, ale ostatecznie rad byłem, żem go nareszcie skończył. Wezwałem śpiącego w sieniach Ilka, wręczyłem mu te drogocenne gołębie i ów przemądry list i kazałem wybrać się w drogę przed świtem, żeby jak tylko państwo powstają, mógł zaraz wręczyć posyłkę. Poradziłem mu przytem, żeby się postarał posyłkę tę oddać pannie... Położyłem się spać rad z siebie... i spałem do siódmej snem sprawiedliwego i zmęczonego młodzieńca.

Pamiętam, iż tego dnia od rana aż do powrotu Ilka, który przyszedł aż koło czwartej godziny, miotał mną straszny niepokój. Nie mogłem się niczem zająć, nigdzie na miejscu usiedzieć... Był to mój pierwszy atak nerwowy, krew mi biła do głowy, w rękach uczuwałem chłód niemiły, byłem cały rozgorączkowany, zdawało mi się ciągle, że mnie spotka jakieś wielkie nieszczęście... Ileż to razy później w życiu doznawałem takiego niepokoju? Iluż miałem przyjaciół, którzy tej samej niemocy podlegali? Z całą słusznością powiedzieć można, że ten dziwny, nerwowy stan podrażnienia jest najstraszniejszą „chorobą wieku", jest utrapieniem najuciążliwszem, nękającem nasze społeczeństwo.

Godzinami czatowałem przed bramą na powrót Ilka, zgniewałem się po prostu, gdym go ujrzał idącego powoli, noga za nogą, bez najmniejszego pośpiechu, idącego tak,

jakby odbywał codzienny obchód powierzonego jego opiece kawałka lasu...

Podbiegłem do niego i porywczo, nerwowo spytałem:

— A co?

On popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem i najobojętniej w świecie odpowiedział:

— Ta nic!

— Masz odpis?

— Niema żadnego.

— Komuś list oddał? — pytałem dalej.

— Samej pani.

— No gadajże — zawołałem porywczo — co mówiła?

— Ta nic nie gadała, tylko te gołębie powąchała i powiedziała, że śmierdzą... To prawda, że je już było trochę czuć, bo wczoraj i dziś na gorącu wielkiem były.

— A list czytała? — pytałem wprost z rozpaczą.

— A jakże — czytały obie z panną.

— I co?

— Ta śmiały się obydwie na całe gardło... coś tam panicz musiał śmiesznego popisać, bo bardzo się cieszyły i śmiały.

— A co z gołębiami zrobiły?

— Kazały psom wyrzucić — odpowiedział ze spokojem Turka, filozof Ilko.

Ciemno mi się w oczach zrobiło, zacząłem pojmować, żem się okrył śmiesznością w oczach mego ideału, że stanę się pośmiewiskiem całej okolicy. W myśli chwytałem się ostatniej deski ratunku, spytałem Ilka, czy ma odpis.

Odpowiedział, jak mi się zdawało, z pewnym odcieniem ironii w głowie:

— Ta jaki tam odpis... Prosiłem samej pani, żeby mi odpisali, a to po tej przyczynie, żeby panicz wiedział, żem gołębie oddał, a nie zjadł po drodze.. Ta co mi powiedziała: — „Ot idź człowiecze do domu, odpisywać nie ma co — a paniczowi powiedz, żeś zjeść gołębi nie mógł, bo już śmierdziały, a śmierdzących gołębi nikt nie je“... Oh, to jakaś ostra pani!

Nie wdawałem się w dalszą rozmowę z Ilkiem; wiedziałem dość na to, ażeby się pogrążyć w bezgranicznem zwątpieniu. Poszedłem ze zwieszoną głową do oficyny i pozapuszczawszy story, siedziałem w ciemności snując rozpaczliwe projekty. Świat cały wydawał mi się tak szalenie szkaradny i obrzydliwy, że pragnąłem opuścić go jak najprędzej. Co prawda, nawet wtenczas nie przychodziła mi myśl samobójstwa, od tej słabości współczesnych mi ludzi byłem zawsze zupełnie wolny... Roiłem tylko o jakichś niezwykłych wyprawach wojennych czy myśliwskich; pragnąłem wówczas rzucić się w wir bitew co najkrwawszych, lub przedzierać się ze strzelbą w ręku i kordelasem u boku przez nieznane ludziom cywilizowanym pustynie... W tych zapasach bohaterskich chciałem zdobyć sławę ogromną, sławę światową, a później złożyć gdzieś wsławioną głowę na krwawem pobojowisku lub spalonym piasku pupustyni.

— Później dopiero zrozumie ona — myślałem z goryczą — jakie wielkie serce oddawało się jej... jaka dusza pragnęła zjednoczyć się z jej duszą.

Tymczasem Jasiek z kredensu przyszedł prosić mnie na herbatę. Odpowiedziałem, że nie pójdę, bo czuję się niezdrowym. Wydało mi się świętokradztwem, ażeby „wielkie, zbolałe serce“ piło herbatę, jadło owoce, tak, jak to czynili inni, zwykli ludzie. Na szczęście nikt nie przyszedł się dowiadywać o moje zdrowie i mogłem bez przeszkody oddawać się rozpaczy aż do dziesiątej godziny.

O dziesiątej jak huragan wpadł do pokoju Kazik.

— Co ty waryacie wyrabiasz! — zawołał zaraz z progu. — Czyś się grzybów trujących objadł, czyś stracił rozsądek do reszty? Mów, co ci jest, z jakiego powodu te awantury wyrabiasz?

Obróciłem się na drugą stronę i milczałem jak zaklęty.

On przyszedł po ciemku aż do sofy, na której leżałem i trącając mnie w ramię zaczął mówić powoli i bardzo serdecznym tonem:

— Nie masz się czego kryć przedemną... Wiem już wszystko. Ilko opowiedział mi całą historyę... Niech ich tam gęś kopnie, co ci na tem może zależeć. I ta twoja promienista Jadwiga głupia i ta jej matka głupia i oni wszyscy, co do nogi, są głupi. A ty naucz się rozumu i pluń na to wszystko... Rozumiesz!

Choć gniewało mnie to bezceremonialne wmięszanie się Kondraszka w me najtajniejsze sercowe sprawy, jednak w miarę słów jego lżej mi się robiło na sercu i na duszy; położenie moje zaczęło mi się wydawać mniej rozpaczliwem... Podniosłem zwolna głowę, później usiadłem na sofie. On tymczasem zapalił lampę i chodził dużymi, miarowymi krokami po ogromnej izbie, która była naszą wakacyjną kwaterą.

Sprawa mego zawodu widocznie leżała mu bardzo na sercu, bo ciągle o niej myślał i mówił, ale mówił tak, że nie mogłem wiedzieć, czy słowa te odnoszą się do mnie, czy są poprostu głośnemi myślami mego przyjaciela.

— Niechże dyabli porwą te wszystkie romanse, — mówił wymachując rękoma. — Czart by mi kazał włazić w takie głupie amory... Ładny interes, nie ma co mówić! Szarawary podarł na strzępki, skórę obdarł tak dokładnie, żeby mu tego lepiej nie zrobił żaden oprawca... Posłał kozie dwa gołębie, a ona nimi psy karmi... Masz romans! Masz miłość idealną! Masz wzniosłe uczucie!

Nagle stanął przedemną i wprost już do mnie zaczął mówić podniesionym, zirytowanym głosem:

— Słuchaj! Niech ci to będzie nauką na później. Niech ci to będzie nauką, bo jej potrzebujesz, bo masz babskie, mazgajowate serce. — Nigdy już się nie zakochaj w żadnej pannie, bo każda cię na durnia wykieruje... Wolisz kochać psa, bo on choć się wdzięcznie na ciebie za to popatrzy, a taka gęś parafialna fochy ci stroić będzie.. Pluń, pluń na to! To jest ostatnie głupstwo. Ja jutro zastrzelę cztery sroki i poszlę tej gęsi w prezencie... Niech się naje sroczego mięsa, lepszego nie warta.

Mówił tak bez końca, a tak był zabawny w swem uniesieniu, że w końcu zacząłem się śmiać. I w śmiechu rozszedł się ból mój sercowy. Kondraszek perorował tak długo, aż skłonił mnie do porządnego rozebrania się, położył do łóżka i gadał jeszcze, aż ogłuszony jego słowami zasnąłem snem sprawiedliwych.

* * *

Niefortunna awantura z posyłką wonnych gołębi stała się w piątek, a w niedzielę cały nasz dom wybierał się na sumę do parafii. Miałem jakieś złe przeczucie co do tej wycieczki, ale rozważywszy głęboko i naradziwszy się z Kondraszkiem, przyszedłem do przekonania, że zawsze bezpieczniej żeby, się pani Okszyńska spotkała z mamą i babunią w mej obecności, niżby to miało się stać bezemnie.

— Może ta utrapiona baba — tłumaczył swym sposobem Kazik — będzie miała większy mores, jak zobaczy ciebie i mnie i nie puści języka na pytel.

Zdecydowałem się więc jechać i stawić czoło niebezpieczeństwu.

Dziwna jest jednak natura ludzka, nie miałem najmniejszej obawy przed wdzieraniem się na prostopadłą skałę, choć wdzieranie to było połączone wprost z niebezpieczeństwem życia, a poprostu trząsłem się ze strachu na myśl spotkania się z panią Okszyńską i rozmowy, która była prawie nieunikniona. Najbardziej niepokoiło mnie to, że panna Zofia będzie tę rozmowę słyszeć i później będzie długo, długo drwiła z mych przesadnych afektów... Czas jednak nie stanął, wskazówki na zegarach posuwały się ze zwyczajną szybkością, minęła sobota, zabłysnął wreszcie niedzielny poranek... Miałem co prawda, słabą nadzieję, że będzie deszcz i przeszkodzi pojechaniu na mszę świętą, niestety od wczesnego ranka słońce jasno świeciło i nie było najmniejszej obawy deszczu nawet chwilowego. Zaraz przy śniadaniu została postanowiona jazda i babunia zadysponowała w jaki sposób mamy jechać, kto ma należeć i jakimi ekwipażami ma się to odbyć. Była to decyzya, od której nie było możliwej apelacyi... Mama, babunia i dwie młodsze siostry miały jechać karetką czterma końmi. Panna Zofia z Marynią dorożką parą końmi, a ja z Kondraszkiem wózkiem, wroniakami.

Przyznaję się, że w ostatniej chwili odwaga opuściła mnie była zupełnie, i gdyby nie to, że wstydziłem się zdradzić przed Kondraszkiem z mem tchórzostwem, byłbym z pewnością znalazł jakąś przyczynę do wykręcenia się od tej niebezpiecznej jazdy. Kazik jednak odgadł me myśli i znalazł czas szepnąć mi:

— Musisz jechać! Nasamprzód grubo zaimponujesz tamtym babom jak zobaczą, że sobie z nich nic nie robisz, a powtóre, jeżeli ciebie nie będzie, to rozpuszczą swój pytel tak, że się z tego i w święconej wodzie nie umyjesz

Raz rzucone kości! Pojechałem.

Kościół był pełniusieńki; cała parafia z najdalszych nawet krańców zjechała się była, dzięki stałej, cudownej pogodzie i doskonałej drodze. Klątem w duchu tę niezwyczajną pobożność mych współparafian i obliczałem o ile głośniejszą będzie moją dekonfitura.

Staliśmy z Kondraszkiem w zakrystyi, nie pokazując się zupełnie w presbiterium. Wiedziałem jednak doskonale, że Okszyńscy są w kościele, bo gdyśmy podjeżdżali do bramy kościelnej, to widziałem ich powóz odchodzący stempem do zajezdnego domu w miasteczku. Znając dobrze parafialne zwyczaje, z łatwością odgadłem, że mają zamiar być po mszy u proboszcza, bo jeżeliby mieli zaraz po mszy jechać do domu, to konie byłyby czekały przed kościołem.

Przyznam się, że nie wiele modliłem się tego dnia., tylko rozmyślałem głęboko: „co to z tego będzie“.

Wreszcie i msza się skończyła. Wszyscy, wychodząc z kościoła, witali się mniej lub więcej serdeczniej, a wnet potem zaczęło się ceremoniowanie u furty, prowadzącej z cmentarza na księży dziedziniec. Skończyło się tak, jak bywało od lat kilkunastu, że moja babka podała rękę pani Konczewskiej najstarszej kobiecie w parafii i obie weszły pierwsze, za niemi poszła moja matka z panią Okszyńską, a później już inni bez ceremonii i nawet z lekka się rozpychając.

Zaniepokoiło mnie to, że pani Okszyńska była jakaś dziwnie dziś słodko uprzejma. Do mnie uśmiechnęła się tak słodko, jak nigdy przedtem, i ze zwyczajną u niej przesadą podała mi rękę, mówiąc:

— Witam, witam pana!.. Bardzo się cieszę, że pana widzę.

Ja się nie cieszyłem z tego, taka serdeczność wydała mi się strasznie niebezpieczną.

Kondraszek, który to widział i słyszał mruknął mi do ucha:

— Dyabelska baba! Bierze na kieł, musimy się trzymać i miny nie tracić.

Pierwszą czynność, którą musiałem spełnić po wyjściu na plebanię, było „odrekomendowanie“ Kazika wszystkim zgromadzonym.

Zacząłem od proboszcza i staruszki jego siostry, a później przyprowadzałem go do każdej osoby, której on się kłaniał bardzo głęboko, a ja jak herold ogłaszałem:

— Kazimierz Kondratowicz syn naszego lirnika litewskiego.

Chociaż po każdym „lirniku“, Kazik szczypał mnie niemiłosiernie w łokieć, mimo to nie opuściłem tego dodatku ani razu.

Poczciwi ludziska serdecznie go przyjmowali. Proboszcz wyściskał go na wszystkie strony i wycałował z dubeltówki. Pani Okszyńska nie omieszkała mu powiedzieć, że »słyszała już tak wiele o nim od jego serdecznego przyjaciela — tu wskazała na mnie — i wie, jak go wysoko cenić należy“.

— Ostatecznie skończyłem uciążliwą prezentacyę i zrobiło się na chwilę cicho. Spojrzałem szukając wzrokiem pani Okszyńskiej; siedziała na kanapie obok swej babki. Gdy nasze oczy spotkały się na chwilę, pani ta skinęła łaskawie na mnie, a gdym się zbliżył, zaczęła mówić słodkim, jak bakalie wschodnie, głosem:

— Serdecznie dziękuję łaskawemu panu, że raczył nie zapomnieć o nas... o nas zadomowanych parafianach!

Po mnie zaczęły chodzić zimne ciarki od pięt aż do głowy, a w pokoju zrobiło się cicho, jak w kościele przy podniesieniu. Pani Okszyńska mówiła dalej:

— Doprawdy, że nie warci byliśmy tak wspaniałego daru... Mój Boże, czyż my się rozumiemy na takich specyałach... To była taka pańska arystokratyczna zwierzyna.. Miała taki silny zadecydowany zapach... dziczyzny... Jakaż szkoda, że my na tem się nie znamy... Byłam poprostu zmuszona dać te gołąbki Foxowi, pieskowi mego kuzyna, on jest od polowania, to może odczuć całą znakomitą wartość tej zwierzyny...

Stałem jak ofiara na śmierć prowadzona, język mi w ustach zdrewniał, krew z twarzy uciekła, na dobitek usłyszałem, że w koło mnie zaczęły się odzywać uśmiechy i drwinki, ciekawe zapytania i drwiące odpowiedzi. Pani Okszyńska nie dała jednak jeszcze za wygrane, chciała, żebym wypił nawarzone piwo aż do dna. Po chwili milczenia prawiła dalej:

— A jaki cudownie piękny, jaki pełen poetycznego polotu, pełen niewyczerpanego wdzięku list pana... Schowałam go sobie na pamiątkę. Doprawdy, ja mam przekonanie, że pan będzie chyba sławnym autorem, jakimś Kraszewskim lub Korzeniowskim... Tak! tak napewne! pan będzie wielkim człowiekiem... A później kiedyś, gdy się spotkamy, to panu przypomnę i oddam panu jego list.

Położenie moje stawało się wprost nieznośnem. Wyratowała mnie zeń moja babka, która z wielkim taktem zwróciła się do pani Okszyńskiej mówiąc:

— Pewno już mój wnuk jakieś głupstwo zmalował? Niech mu pani przebaczy, on taki bardzo młody... A przecież i starszym zdarza się głupstwo zrobić.

Temi słowami mej babki skończoną została dalsza dyskusyą o gołębiach i moim sławnym liście. Rozmowa skierowana przez moją babkę przeszła na inne przedmioty. Ja usunąłem się w kąt do drugiego pokoju. Byłem sam, zawstydzony, zapomniany, wyśmiany, było mi bardzo gorzko, bardzo boleśnie — pragnąłem umrzeć. Nagle szelest zwrócił moją uwagę. Osłupiałem ze zdziwienia i radości. Tuż przedemną stała panna Jadwiga, zarumieniona i zawstydzona, w ręku trzymała gałązkę niezapominajki, widocznie wyrwaną z bukiecika, który miała wpięty na piersiach przy swej białej, muślinowej sukience. Patrzyłem na nią zastraszonemi oczami i czułem, że nie potrafię zdobyć się na żadne słowo. Ona przemówiła pierwsza:

— Niech się pan na mnie nie gniewa... Ja nie chciałam panu dokuczać... To mama.. To mama taka niegodziwa...

Wcisnęła mi gałązkę niezapominajki w rękę i nie mówiąc już ani słowa, pośpiesznie wróciła do pierwszego pokoju.

Sceny tej nikt nie dostrzegł... wyryła się tylko była na długo w mej pamięci.

Oh! panna Jadwiga była... „majster“.. Była doskonałym myśliwym, daleko lepszym, niż ja nim miałem kiedykolwiek zostać. Tych kilka słów, to jej spojrzenie i ta gałązka niezapominajki stały się „przynętą“, która sprawiła, żem lat kilka zostawał pod jej władzą, byłem jej sługą i niewolnikiem... aż wreszcie znudziła się mną i poszła za milionowego szlachcica i została wielką panią jeżdżącą poszóstną karetą i strojącą się w jedwabie i koronki. Przynęta ta panny Jadwigi sprawiła, żem zapisał pewno kilkanaście libr papieru, nieudolnymi, erotycznymi wierszami... lecz wskutek tych wierszy wziąłem się do pisania i rozsądniejszych rzeczy.

Z przyjemnością wspominam dziś o pannie Jadwidze, bo choć sama w gruncie rzeczy zgoła nie idealna, stała się ideałem mej pierwszej młodości i sprawiła to, żem tych ideałów nie szukał na dnie mętów społecznych.

Po jej zniknięciu schowałem mi darowaną gałązkę w najbliższą kieszeń i stałem zadumany, nie mogąc zebrać myśli; zdawało mi się, że niebo się przedemną otworzyło... A to był dopiero początek czyśćca.

W tym stanie znalazł mnie Kondraszek i oznajmił, że babunia już się żegna, a nasze konie stoją przed gankiem.

Jak lunatyk pożegnałem się ze wszystkimi i bezmyślnie siadłem na wózek... Kondraszek tak odczuł moją przykrość, że nie dokuczał mi więcej.

* * *

Sceny, która nastąpiła po powrocie do domu, nie będę opisywał. Dostałem od babuni i mamy burę, która jednak tak była osłodzoną serdeczną pobłażliwością, że nie bolała mnie nawet. Panna Zofia za to kpiła ze mnie bez miłosierdzia, ale robiła to tylko wówczas, gdy nie było ani mamy, ani babuni.

W tydzień potem powrócił ze swej wycieczki Andrzej Pomian i zabrał Kondraszka ze sobą. Nawet nie starałem się zatrzymać go dłużej, pomimo, że pokochałem go był serdecznie, obecność jego i ciągłe z nim obcowanie stawało się dla mnie uciążliwem... Pomiędzy nami tkwiła owa gałązka niezapominajki, o której on nic nie wiedział i dzieliła nas. Przyznać mu się do tego nie mogłem, a jakakolwiekbądź tajemnica niszczy przyjaźń zupełnie.

Pojechał i nie zobaczyłem go już nigdy później w życiu i nawet nie wiem czy żyje jeszcze i co się z nim dzieje.

Serdeczny chłopaku, przyjacielu z najmilszych chwil mego ubiegłego życia tobie poświęcam tych kilka kartek, nie zimnym atramentem, lecz krwią gorącą napisanych.

Zginione, zmarłe kształty żegnajcie mi — na wieki!

KONIEC.

Marzec — Lipiec r. 1897 w Dubienku.



OSTATNI NIEDŹWIEDŹ.

(Dokończenie).

Ale co było najlepszem ze wszystkiego, to to, że przypuszczenia okazały się zupełnie prawdziwemi. Niedźwiedź stanowczo nie chciał iść do lasu, a sądząc po odgłosie psich głosów, silnie skręcał w lewo, z jasnym zamiarem dobrania się znowu do dopiero co opuszczonej przez niego gęstwiny.

Prawdopodobieństwo spotkania wzrastało z każdą chwilą, a serca myśliwych zabiły silniej. Tak, spotkanie było tem więcej możliwem, że dzięki perjodycznemu szczekaniu psów, zachęcanych nieustannie przez pana Michała, myśliwi ciągle mogli być poinformowani o tym kierunku, w którym szedł niedźwiedź, a to było dla nich w danej chwili rzeczą nadzwyczajnie ważną.

— Dzielne psy — pomyślał pan Józef i zatrzymał się. Wydało mu się, że w krzakach rozległ się jakiś trzask. Zataił oddech i czekał.

Minęła może minuta; trzask rozległ się znowu, ale daleko dalej, przed nim.

Pan Józef szybko odwrócił się w kieruuku trzasku i w odległości stu kroków przed sobą, na niewielkiej polance, zobaczył niedźwiedzia. Szedł powoli, opuściwszy smutnie głowę na dół i jakby nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się działo dokoła niego.

Pan Józef mimowoli podniósł broń, ale natychmiast się rozmyślił... Strzelać na taką odległość było niemożliwem, tem więcej, że niedźwiedź szedł w prostym kierunku na Kunza, a puścić kulę za nim, znaczyłoby popsuć sprawę.

— Ale czy Kunz go widzi? Możeby krzyknąć na niego? — przebiegła mu myśl przez głowę.

Krzyczeć także nie było można, to również mogło popsuć wszystko.

Pan Józef spuścił broń i pobiegł, aby dogonić przy-

jaciela. Z niewiadomej przyczyny zaczął się lękać o niego, to też biegł, ile mu sił starczyło.

— Prawdopodobnie dostrzeże go w sam czas i przygotuje się. Musi go dostrzedz — uspakajał siebie. — Nie może być, aby go nie dostrzegł!

Kunz jednak niedźwiedzia nie widział.

Nie spodziewał się, iż spotka się z nim z tej strony, z której szedł na niego, i przypuszczając, że jest daleko przed nim, kroczył, nie oglądając się prawie po bokach.

— Co te psy tak się długo nie odzywają? — pomyślał, omijając kilka krzaków i przysłuchując się rozlegającym się w oddali nawoływaniem pana Michała.

— Ah! Przecie! Wisła się odezwała!

Ale wcale nie tam, gdzie myślał. Nie przed nim, ale prawie za nim i przytem zupełnie blisko.

Usłyszawszy wystrzał, Dunaj, który przez cały czas trzymał się za Wisłą, w dwóch podskokach wyprzedził ją i zanim niedźwiedź mógł się opamiętać, przyczepił mu się do zadu.

Pomoc ta, sama się przez się rozumie, nie wiele była warta. Zanim się niedźwiedź zdołał obejrzeć, Dunaj już się oderwał od niego; ale to wystarczyło, aby uwagę niedźwiedzia odwrócić w inną stronę. Czy zapomniał nagle o Kunzu, czy też Wisła i Dunaj w jego oczach nie wydawały się takimi błahymi przeciwnikami, jakimi były w rzeczy samej, dość że napadu na Kunza nie wznowił, lecz szybkim galopem zaczął zmykać.

Gdy pan Józef przybiegł na miejsce spotkania, niedźwiedzia już nie było widać. Psy także popędziły za nim.

— Co?.. Co takiego? — zapytał zastraszony pan Józef.



Wyjazd na polowanie.

Obejrzał się szybko, i oczy jego spotkały się z ślepiami niedźwiedzia, obchodzącego tę samą kępę krzaków, nie więcej jak w odległości dziesięciu kroków od niego.

Kunz żywo podniósł broń, ale nim jeszcze zdołał wymierzyć, niedźwiedź w szalonym podskoku rzucił się na niego; Kunz wystrzelił w tej samej chwili, lecz kula widocznie musiała przelecieć niedźwiedziowi nad głową.

Kunz instynktownie rzucił się w bok i to go uratowało. Niedźwiedź przeleciał obok i tylko łapą drasnął z lekka but Kunza. Katastrofa była odroczona na chwilę, ale w tej chwili nadeszła pomoc, na którą wcale nie można było liczyć.

— Okropna rzecz, okropna — mówił Kunz roztargniony, jakby odpowiadając samemu sobie. — *Schrecklich!*

Blade usta drżały mu silnie.

— Rzucił się na ciebie?

— Tak, prawie mnie przygniótł sobą. Gdyby nie Dunaj, na pewno wyprawiłby mnie na tamten świat.

— Trafiłeś go?

— Nie, nie zdążyłem nawet wymierzyć.

— Więc przed wystrzałem rzucił się na ciebie?

— Jak mnie tylko zobaczył, zaraz się rzucił. Siądźmy, już mi sił braknie.

Pan Józef krzyknął, a niezadługo potem podeszli ku nim pan Michał i Sas.

Krótkie opowiadanie Kunza zniewoliło wszystkich do zadumania się.

— Możeby dać pokój tej gonitwie? — pomyślał mimowoli każdy.

Wszyscy siedli, aby pozwolić Kunzowi odetchnąć i przyjść do siebie... I innym należał się także chociaż krótki odpoczynek. Jedli i pili, nie spiesząc się; ale co mogło wydawać się dziwnem, to to, że wszyscy jakoś z niechęcią zaczynali mówić o ostatnim wypadku i umyślnie o nim milczeli.

Wszyscy z tego powodu czuli się jakby winnymi. Tak, zwierz widocznie był silnie rozjuszony, a niebezpieczeństwo dalszej gonitwy wszyscy pojmowali bardzo dobrze. Rozsądek uporczywie domagał się zaniechania pogoni, ale wyrzec jej się, na przekór wszystkiemu, nie chcieli. Wszyscy czuli się jakoś nieswojsko.

Każdy walczył z samym sobą i niezdecydowany unikał wszystkiego, co mogło postawić kwestję na ostrzu noża.

Sas, jako mniej wstrzemięźliwy, zaczepił o tę kwestyę najpierwszy.

— Co za bies! A to dyabeł nie niedźwiedź — mruczał. — Widzisz go, co za modę wymyślił. Mierzysz do niego, a on nie czeka na strzał i rzuca się, prosto na ciebie wali. Tuj, tuj, a bieda za pasem.

— Tak, tak — potwierdził pan Józef zadumany.

— A możeby odłożyć do jutra? — zapytał pan Michał, nie uważając za rzecz możliwą odkładania kwestyi na później.

— A cóż, można i odłożyć — godził się Sas i jakby na pocieszenie dodał: — Albożon daleko pójdzie? Wszystko jedno, i tak będzie nasz.

— No, jak się zdarzy — odezwał się pan Józef, któremu brakło siły woli wyrzec się tak ni z tego ni z owego polowania.

— Zdechnie bestyja, to nas chłopi ubiegną i zabiorą go może jeszcze na pół żywego — dodał pan Michał.

— Co tu gadać! — uśmiechnął się Sas — oni do tego jedyni.

— Więc cóż począć w samej rzeczy? — zaczął znowu pan Michał. — Skończyć dziś, czy nie?

Zdaleka doszedł zaledwie dosłyszalny głos ujadających psów.

— Widzisz ich, gdzie są! — ożywił się Sas. — Do lasu bestyę zagnały.

Wszyscy zaczęli się przysłuchiwać.

— W istocie, — są w lesie.

— A nie chciał tam iść.

— Jest tam, jest... Tylko daleko.

— To i cóż, że daleko? — mówił Sas z wzrastającem ożywieniem. — Teraz go wziąć bardzo łatwo drobnostka... Zdaje mi się, że machnął na Oblepichę... Żeby tylko zdążyć do tamtego zworu. Z pewnością tam będzie...

— Nie zdążymy...

— Dlaczego nie mamy zdążyć?... Pójdziemy prosto, a on musi kołować.

— A może i zdążymy — odezwał się Kunz, który, aczkolwiek jeszcze nie przyszedł do siebie, ale mimo to poddawał się mimowoli kierunkowi myśli, tak niespodziewanie zmienionych pod wpływem dalekich głosów Dunaja i Wisły.

— Tak, naturalnie, że zdążymy — rzekł pan Michał, powstając.

Wszyscy przyjęli to za wezwanie do wyruszenia w pogoń i powstali.

Po upływie pięciu minut całe towarzystwo wyszło z gąszcza na drogę, która ich odgradzała od lasu.

— A to kto? — zapytał pan Michał Sasa, zatrzymując się na drodze i wskazując na podjeżdżające ku nim sanie.

Siedzący w nich, spostrzegłszy myśliwych, pomknęli szybciej, oczywiście spiesząc ku nim.

— Hm... — mruknął Sas. — To pan Jan z Krzywej i pan Wojciech z Barzyłówki.. Nie poznaliście?

— A oni czego tu chcą?

— Widzicie sami... z dubeltówkami, a więc... spieszą gdzieś na polowanie.

Podróżni mieli w istocie dubeltówki i jak, przypuszczał Sas, chcieli przyłączyć się do towarzystwa.

— A na niedźwiedzia chodziliście kiedy panowie? — zapytał z uśmiechem pan Michał. — Nie przestraszycie się?

— To prawda, na niedźwiedzia nie chodziliśmy, ale czego się tu bać?

Pan Jan i pan Wojciech byli to dwaj znajomi młodzi dzierżawcy. Nie raz i nie dwa spotykano się z nimi na polowaniach na cietrzewie. Trzeba było nieraz nawet korzystać z ich uprzejmości, i dlatego przeciwko udziałowi ich w pogoni za niedźwiedziem nie można było występować.

— Doskonale — rzekł leśniczy — saniami do zworu pod Oblepichą prędko dojedziemy.

— I to prawda.

— Tylko psy trzeba przywołać.

Sas miał już zadąć w róg, ale to okazało się zbytecznem. Psy, pozostawione przez myśliwych, chociaż z początku gorąco pognały za niedźwiedziem, ale zauważywszy samotność swą, powróciły do nich właśnie w sam czas. Pogłaskano je i obsypano pieszczotami, jak bohaterów dnia, ale mimo to wzięto je na smycz i po chwili całe towarzystwo, umieściwszy się na saniach, pędziło szybko w stronę zworu pod Oblepichą. Koni nie oszczędzano, to też nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż zdążą na czas.

Przejechawszy drożyną leśną około trzech tysięcy kroków, pan Jan, który powoził, zwrócił na prawo.

— A to gdzie? — wstrzymał go pan Michał. — Jedź pan prosto!

— Prosto nie można przejechać.

— Nic nie szkodzi, panie Michale — wmięszał się Sas — niechaj skręca. Tutaj droga będzie lepsza, a chociaż i dalej trochę, to jednak prędzej zajedziemy na miejsce.

— Ależ tutaj nie natkniemy się na niego... Umknie...

— Mam nadzieję, że nie.

Skręcili na prawo i rzeczywiście, ujechawszy może jakich jeszcze z pięćset kroków, dojrzeli ślady niedźwiedzia. Ciągnęły się one przez drogę i jak się tego spodziewano, szły w kierunku zworu pod Oblepichą.

— Trzeba się spieszyć.

— Zdążymy, ale tylko... ktoś musi iść śladem

— Tak — odezwał się Sas. — Jak bestya gdzię skręci, gotowiśmy na Oblepisze siedzieć do końca świata i nie doczekamy się go.

— Psy także puścimy? — zapytał pan Józef.

— Nie, teraz ich nie trzeba... W saniach je zostawimy.. — odparł pan Michał. — Prócz tego, jeżeli je puścimy, to znowu będę musiał z nimi iść, a mnie się to już sprzykrzyło... Niechaj teraz Sas idzie śladem — dodał, uśmiechając się.

— Cóż, pójdę, dlaczego nie mam iść?

— Jak będziesz podchodził na miejsce, to się odezwij — napominał go pan Michał, wychodząc z sań, — A jeżeli gdzie skręci, to zadmij w róg... Zawrócimy natychmiast... abyśmy i tam darmo nie musieli jechać.

— Dobrze, jeżeli skręci, zatrąbię w róg — rzekł Sas i zdjąwszy kapiszonówkę z ramienia, poszedł śladem.

Konie pognano znowu. Około półgodziny jechano w zupełnem milczeniu. Wszyscy byli przekonani, że nowe spotkanie się z niedźwiedziem jest bardzo bliskie.

Jeżeli idzie na Oblepichę, to z pewnością przetną mu drogę, a że tam idzie, to nie ulega najmniejszej wątpliwości gdyż Sas dałby już umówiony sygnał.

Tak, o bliskości spotkania wszyscy byli przekonani' a chociaż spotkanie to było marzeniem każdego, mimo to jednak myśl o niem wywierała jakieś ciężkie, przygniatające i duszące wrażenie. Zwierz przedstawił się w bardzo nieprzyjemnem świetle. Zetknięcie się jego z Kunzem mogło się skończyć wcale nie tak szczęśliwie, jak się skończyło, i wszyscy jasno uznawali to niebezpieczeństwo, jakie im groziło.

— Konie przewiozą nas w całości? — zapytał szeptem pan Michał, gdy podjechali do zworu.

— Dlaczego nie? Przewiozą — odparł pan Jan.

— Trzeba zatem skręcić z drogi.

Skręcono w bok i przejechano nad krajem podłużnego, niebardzo szerokiego rowu...

Śladu nie było. Niedźwiedź widocznie jeszcze go nie przeszedł.

Miejsce, które miano zamiar zająć, było nie wielkie i wystarczało właśnie na pięć stanowisk, ale panowie Jan i Wojciech, którzy już coś usłyszeli o postępowaniu niedźwiedzia, zająknęli się i po niezręcznej przedmowie oświadczyli, iż chętnie stanęliby razem we dwóch na jednem miejscu.

Linię trzeba było trochę wyciągnąć, zresztą, nie zepsuło jej to wcale i strzelcy według wskazówek pana Michała umieścili się nie więcej jak siedmdziesiąt kroków jeden od drugiego.

Linię wyciągnięto nie na skraju lasu, lecz w samym lesie, a pan Michał wskazał każdemu jego stanowisko. Konie pognano naprzód. Postanowiono, że na wypadek, gdyby Sas dał znać, że niedźwiedź skręca, aby i linia posuwała się w jednym z nim kierunku, ale nie inaczej, jak tylko na znak dany przez pana Michała i nie zmniejszając wcale odległości między jednym a drugim.

Minął jeszcze z kwadrans i w oddali usłyszano głos Sasa.

— Śladem! Śladem! — wykrzykiwał miarowo i w równych krótkich odstępach.

Wszyscy wstrząsnęli się i zamarli niemal na swoich miejscach

— Śladem! Śladem! — słychać było coraz bliżej.

Obliczenie było słuszne. Niedźwiedź szedł wprost na linię.

Przed strzelcami, ukrywającymi się po za pniami wysokiego, starego lasu, rozpościerała się młoda porośl w wielkich krzakach; mimo to jednak miejsce było dosyć otwarte, a stojący na sąsiedniem stanowisku pan Jan i pan Wojciech byli powodem nie małej troski pana Michała. Zbliżający się coraz więcej głos Sasa wzruszał i wzburzał ich widocznie, to też nie stali wcale tak spokojnie, jakby to było do życzenia.

— Zauważy... spłoszą go!... — myślał pan Michał i gniewnie machnął na nich ręką.

Sąsiedzi przycichli i jak by przygnieceni machnięciem jego ręki, przykucnęli w pozach, które mimowoli wywołały uśmiech na jego usta.

— Śladem! Śladem! — rozległo się zupełnie blisko.

— Jednakże dlaczego go niema do tej pory?... Może skręcił?...

Pan Michał z gniewem popatrzył na sąsiadów. Dla niego nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że niedźwiedź zobaczył ich i zmienił kierunek.

Zobaczyć ich była rzecz nie trudna. Kręcili się na stanowisku, to postępując naprzód, to znowu chowając się na drzewo, to stając na palcach, to przysiadając prawie do ziemi.

— Dawałem sobie przecież słowo, że obcych nie wpuszczę w linię — gniewał się sam na siebie pan Michał i zapomniawszy o wszystkiem, o mało nie krzyknął na nich na cały głos.

— Ale... co to?

Krzyk zamarł w jego piersiach.

Ot, w czem rzecz!... Oto, co ich tak kręci!

Pocieszne ruchy sąsiadów można sobie było wytłómaczyć. Nie ulegało wątpliwości, że widzieli zwierza.

Tak... pan Jan podnosi swoją długą dwururkę i mierzy.

Pan Michał przychylił się lekko naprzód i wlepił oczy w krzaki.

O sto kroków przed nim, przedzierając się powoli przez krzaki, szedł niedźwiedź, a szedł wprost na sąsiadów.

— Na łowca zwierz! — mruknął pan Michał.

Niedźwiedź znajdował się może w odległości sześćdziesięciu kroków od sąsiadów.

Pan Jan, to powstając, to znowu przysiadając, mierzył ciągle. Pan Wojciech stał za nim, a mówiąc prawdę, postać jego nie miała wcale tego odważnego wyglądu, który by był odpowiednim w danej chwili.

— Nie dopuszczą w porę... Za nic nie dopuszczą — pomyślał pan Michał i jakby w odpowiedzi na to usłyszał klapnięcie kapiszona.

— Spaliło! — i pan Michał o mało nie parsknął głośnym śmiechem, ujrzawszy to, co się teraz stało.

Pan Jan, rzuciwszy strzelbę w śnieg, zaczął z całych sił pędzić do pana Michała, nie polegając oczywiście na swoim towarzyszu, a przy tem nie polegając na pewnych podstawach, gdyż w tej samej chwili i pan Wojciech z kolei rzucił broń i tak samo szybko zaczął pędzić w przeciwną stronę ku stanowisku Kunza.

Ale i śmiech, jak przed chwilą groźne wymyślanie, również zamarł w piersiach pana Michała.

Niedźwiedź w szalonym galopie pędził w ślad za panem Janem, przecinając mu drogę i widocznie mając zamiar rozprawić się z nim po swojemu.

Pan Michał poczuł, że zimny pot wystąpił mu na czoło.

Sądząc po kierunku biegnących, obydwaj oni, niedźwiedź i pan Jan, powinni byli za chwilę znaleść się obok niego, a kwestya polegała tylko w tem, — czy pan Jan zdąży dobiedz czy nie?

— W każdym razie — pomyślał pan Michał — będę strzelał z bliska, a będę walił w łeb.

Przygotował się.

Jeszcze kilka skoków i pan Jan zwalił się za plecami pana Michała.

Niedźwiedź znajdował się od niego w odległości nie więcej, jak trzech, czterech kroków.

Natknąwszy się na pana Michała, jakby zdziwiony tem niespodziewanem spotkaniem, zatrzymał się zlekka.

Pan Michał wymierzył i wystrzelił.

Nie mógł pojąć, jak się to stało.. ale jasnem było dla niego, że fatalnie spudłował.

Niedźwiedź cofnął się. Huk wystrzału oczywiście ogłuszył go, a błysk ognia trochę zanadto blisko ukazał się przed jego oczyma. Przez chwilę stał jakby niezdecydowany; ale cofnąwszy się jeszcze trochę, skręcił cokolwiek w bok i lekkim galopem przeszedł obok, nie więcej może jak dwa kroki od pana Michała.

Pan Michał powoli wymierzył mu w grzbiet i wypuściwszy go może na ośm kroków, wystrzelił po raz drugi.

Niedźwiedź siadł od razu, głowa jego bezwładnie opadła. Olbrzymia jego masa chwiała się zlekka to w tę to w drugą stronę, a z piersi jego wyrywał się cichy mruk, przerywany ciężkiemi, chrapliwemi westchnieniami.

Oczywiście nastąpiły jego ostatnie chwile.

— Koniec! — szepnął pan Michał, nie spuszczając z niego oczu.

Omylił się jednak.

Koniec był bliski, ale jeszcze nie nadszedł. Ciężkim, niezgrabnym ruchem niedźwiedź powstał i powoli powlókł się dalej.

Przeszedłszy kilka kroków, natknął się na drzewo i nieświadomie skręcił w bok, idąc dalej powoli ciężkim, nierównym krokiem.

Pan Michał szybko otworzył broń, ale naboje nie chciały wypadać z luf. Zaczął szukać klucza, ale klucza nie było.

Niedźwiedź szedł dalej.

Pan Michał przeszukiwał wszystkie kieszenie, ale nie mógł znaleść klucza.

— Nie, teraz nie ujdzie! — rozległ się wesoły i silny głos Sasa. — Nie ujdzie!. Ma dość!.. A tuś mi, bratku! — wołał, przebiegając szybko obok pana Michał i przecinając niedźwiedziowi drogę.

Pan Michał ciągle jeszcze szukał klucza i nareszcie przypomniawszy sobie, gdzie go schował rozpiął kurtkę i dostał klucz. Gorączkowo nabijał broń, ale gdy włożył nowe naboje, nie było już widać ani Sasa ani niedźwiedzia.

Rzucił się w tę stronę, w której mu zniknęli.

Przed nim na polance rozległ się wystrzał.

— Dognał go, stary grzyb! — wykrzyknął pan Michał i uśmiechając się, pobiegł jeszcze prędzej.

Po chwili wyskoczył na polankę. O sto kroków od niego leżał niedźwiedź. Leżał na brzuchu i dość było jednego spojrzenia, aby się przekonać, że przeżywał ostatnie chwile swego żywota. Agonja się rozpoczęła; widocznie jednak nie skończył jeszcze z życiem rachunków i widocznie spieszył się, aby je zakończyć. Jego potworne łapy szeroko rozpościerały się po bokach i jakby siląc się na pochwycenie nienawistnego wroga, zagrzebywały pod siebie całe kupy śniegu, a dokoła unosiły się całe tumany śnieżnego pyłu.

Z drugiego końca polanki z strzelbą gotową do strzału, biegł pan Józef, Sasa jednak nie było.

— Gdzież on jest?!

Pan Michał spojrzał bystro dokoła i zbladł. Ślady Sasa i ślady niedźwiedzia schodziły się i kończyły się pod cielskiem zwierza.

Pan Józef dobiegł prawie tuż do samego zwierza i wymierzył.

— Stój! stój! — krzyknął pan Michał głosem, na który pan Józef drgnął, jakby przeszyty iskrą elektryczną.

— Stefan, Stefan! — krzyczał dalej pan Michał, nie mogąc widocznie znaleźć innego słowa.

Pan Józef spuścił broń. Nie pojmował, o co rzecz idzie, ale wygląd brata dowodził jasno, iż coś się stało.

A niedźwiedź po dawnemu zgarniał śnieg pod siebie z wściekłością. Przedśmiertny dreszcz przebiegł po jego cielsku. Od czasu do czasu jakby odpoczywał, ruchy jego stawały się powolniejsze, ale myśl zniszczenia wroga widocznie go nie porzucała; powoli, niezdarnie wodził łapami dokoła, jakby macając, szukając czegoś, a następnie, jakby gorączkowo się ożywiając, zaczynał znowu grzebać z dawną nie opuszczającą go wściekłością.

— Sas! Stefan! — powtarzał pan Michał, podbiegając i wskazując w roztargnieniu na niedźwiedzia.

— Pod nim? — zapytał cicho pan Józef, który dopiero teraz pojął całą grozę położenia.

— Tak, pod nim, — szepnął zaledwie dosłyszalnie pan Michał.

Pan Józef ostrożnie podszedł do niedźwiedzia, powolnym ruchem przyłożył mu lufę do ucha i wystrzelił.

Głowa niedźwiedzia zaryła się w śniegu. Rozpostarte łapy drgnęły i lekki dreszcz przebiegł po jego olbrzymiem cielsku.

Blady, bez kropli krwi w twarzy, obrócił się pan Józef do brata i patrzył mu w oczy, jakby pytając się, co czynić należy.

Pan Michał po cichu zawołał na Sasa.

Odpowiedzi nie było.

— Zadusi się! — krzyknął nagle głośno pan Józef, widocznie przerażony myślą, która w tej chwili przyszła mu do głowy.

Bracia rzucili się do podnoszenia niedźwiedzia.

— O-ho! O-ho! — wołali obydwaj na przemian, zobaczywszy podbiegających ku nim Jaśka i Kunza.

Wspólnemi siłami ruszyli niedźwiedzia z miejsca.

Prawie zakopany w śniegu, blady, nieruchomy z zamkniętemi oczyma leżał Sas, i tylko nierówny, ledwie dostrzegalny oddech wskazywał na to, że jeszcze żyje.

Wszyscy padli obok niego na kolana, i bojąc się dotknąć go, oglądali go uważnie.

— Niema krwi — szepnął cicho pan Michał.

— Niema — również szeptem odparł pan Józef.

— Może to tylko omdlenie — ciągnął dalej szeptem pan Michał i chwyciwszy garść śniegu, przyłożył ją do czoła i skroni Sasa.

Przeszła minuta dręczącego oczekiwania.

— Wody by trzeba — zauważył Kunz.

Ale wody nie było.

— Śniegu na głowę, więcej śniegu!

Sas leżał ciągle nieruchomy, nie dając prawie żadnych oznak życia.

— Może go ranił z tyłu? — ledwie dosłyszalnie szepnął Kunz, jakby sam obawiając się swych własnych słów.

Wszyscy ze strachem popatrzyli na niego.

— Zdaje się, że za uchem jest krew — jeszcze ciszej, jeszcze lękliwiej szepnął Kunz.

Pau Józef ostrożnie podjął głowę Sasa i — zamarł.

Nie rzekł ani jednego słowa, ale wszyscy zrozumieli, że zobaczył coś okropnego.

Powoli spuścił głowę Sasa na śnieg, a łzy potoczyły mu się po policzkach.

— Co takiego?.. Boże, cóż to takiego! — krzyknął niespodzianie pan Michał i nieświadomym ruchem uchwycił rękę Sasa w dłonie.

Sas powoli otworzył oczy. Odblysk życia świecił się w nich. Te oczy jakby chciały coś powiedzieć.

— Cóż, stary? Co? — zaczął pan Michał głuchym, urywanym głosem.

Coś w rodzaju uśmiechu przemknęło się po twarzy Sasa, a potem znów zamknął oczy.

— Głowa...? — zapytał Kunz cicho pana Józefa.

Ten spojrzał na niego i nie odpowiedział nic.

Pierś Sasa podniosła się w ciężkim oddechu. Zaledwie dostrzegalnie podniósł głowę i znowu ją opuścił, ale jakby na bok, jakby ją chciał przycisnąć do ramienia.

Usta mu zadrgały, a z nich wyszło jedno tylko słowo:

— Ostatni...

Lekki dreszcz przebiegł po ciele Sasa.

— Umiera — szepnął przerażony pan Józef.

Sas westchnął. Usta zadrgały mu znowu, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, westchnął jeszcze raz i wyprostował się w całej swej długości. Wielkie jego oczy otworzyły się i zamarły w surowem, nieprzyjemnem, śmiertelnem spojrzeniu.

Wszyscy, prócz pana Michała, zdjęli czapki i przeżegnali się.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie...

— No i cóż ty, mój stary... — zaczął pan Michał, lecz nagle urwał, i — rzuciwszy się na piersi zmarłego towarzysza i drżąc na całem ciele, wybuchnął dziwnym, cichym, prawie do śmiechu podobnym płaczem.

Był to również i jego ostatni niedzwiedź. — Już nigdy w życiu nie zapolował na niedźwiedzia.

K O N I E C.





Myśliwi.

KORESPONDENCYE.

Nuszcze 30 listopada 97.

(Stan zwierzyny. — Wczesna zima. — Lisy i myszy. — Kłusownictwo. — Karmienie zwierzyny. — Moje uwagi.)

Rok bieżący u nas nie wiele się różni co do stanu zwierzyny od lat ubiegłych; nie można narzekać, by był gorszy, gdyż u nas letnia aura była łaskawszą, jak gdzieindziej. W ogóle tu w dobrych gospodarstwach łowieckich można nazwać stan zwierzyny dobrym, lisów mamy stosunkowo mało, a natomiast, dziwna rzecz, myszy mamy tyle, że skutki ich pracy widać już po oziminach i stertach. Napisałem powyżej, dziwna rzecz, bo zwykle tak bywa, że z myszami ciągną zawsze razem lisy i zwykle, jeśli zkąd przywędrują myszy, natychmiast za niemi pojawiają się w znaczniejszej liczbie lisy. Tego roku przeciwnie mamy dużo myszy, a lisów prawie nie mamy. Błotnego ptactwa i przepiórek u nas było prawda mało, słonki się pokazały, ale dnia 5 i 6 października spadł śnieg i pokrył ziemię na 40 cm. grubości i wypłoszył tych długodziubów. Lecz gdyby nawet były zostały, z pewnością żaden z leśników nie byłby się na nie ani popatrzył, gdyż miał co innego w głowie. Ów śnieg, który spadł tak wcześnie poczynił w lesie takie szkody, jakby grad przeciągnął nad łanem zboża i wyniszczył wszystko do szczętu. Śnieg ten długo będzie w pamięci leśników. Szkód takich w drzewostanach dawno już nie mieli.

Kuropatwy są u nas wielką rzadkością, a to dlatego, że jak się dostaną do sąsiedniej wioski na pola, to natychmiast znikają jak kamfora, dzięki kłusownikom, którzy je łowią w najrozmaitsze sposoby. Kłusownictwo u nas, dzięki Bogu, wprawdzie trochę ustaje, ale zawsze jeszcze istnieje i ogromne w zwierzostanach wyrządza szkody. Co wieczoru słychać na okół strzały, które dają znać, że ci miłośnicy cudzej zwierzyny jeszcze nie wyginęli, że jeszcze żyją. Nie wiem, czy tak samo jest gdzieindziej, ale kłusownicy w łowieniu zwierzyny mają swoją osobną metodę. Zwierzyna z lasów wychodzi na żer, najczęściej na chłopskie pola. Otóż kłusownicy wiedząc o tem, którędy i dokąd zwierzyna wychodzi, kopią jamy w pobliżu drogi, którą zwierzyna przechodzi. Gdy ona przyzwyczai się już do tych jam i nie budzą one w niej postrachu, wówczas taki kłusownik chowa się w jamie i strzela z niej do przebiegającej mimo zwierzyny. Chłopi na kopanie jam na swych polach pozwalają, bo zwykle z kłusownikami są w spółce. Ja sądzę że kłusownik tylko w lecie jest dla zwierzyny niebezpieczny, ale wówczas łatwo go można wyłapać, gdyż noce są krótkie i ciepłe, to straż leśna może w lesie i całą noc, jak potrzeba, przepędzić i rabusia schwytać. W zimie zaś, zwierzyna, tam, gdzie jest karmioną, jak wiem z własnego doświadczenia, prawie w pole, (szczególnie sarny), nie wychodzi, więc i kłusownik nie ma sposobności do zabicia zwierzyny.

Karmienie zwierzyny przynosi pożytek tylko wówczas, gdy się ją dobrze karmi a nie dla parady. Nieszczęściem dla leśniczego, gdy właściciel sam myśliwy w miejscu nie mieszka, a karmić zwierzynę każe. Wówczas leśniczy z przeważną częścią pp. rządców ekonomicznych, musi formalną wojnę prowadzić, gdyż panom tym dziwnem się wydaje, że sarny dostają konicz, tak jak cielęta i nie chcą zrozumieć, że dla dobra właściciela trzeba się inwentarzem i w oborze i w lesie jednakowo opiekować i że zwierzyna w lesie, aby przynieść potem pożytek, potrzebuje jeszcze większej opieki, niż inwentarz pod dachem.

Ja wprawdzie w tem niemiłem położeniu dotychczas nie byłem, ale widziałem te kłopoty u moich kolegów.

Narzekanie na kłusowników, iż z ich powodu stan zwierzyny jest nadzwyczaj skromny, nie zawsze są uzasadnione. Kto zwierzyny nie karmi, ten nie może mieć pretensyi, aby zwierzynę miał w swoich lasach, bo albo wejdzie ona do sąsiedniej kniei, gdzie zwierzynę karmią, lub śniegi wypędzą ją do wsi za żerem, gdzie chłop bez strzelby złapie ją w sidła lub kijem ubije, lub też zwierzyna z głodu wyginie. Karmmy dobrze zwierzynę, a przytem dobrze ją pilnujmy, a nie będziemy na kłusowników narzekali.

Adolf Korpak.

Łańcut w listopadzie 1897.

[Kilka słów o rozmnoży i sprowadzaniu kuropatw].

Wyczytawszy w korespondencyach Łowca z września r. b., że na zgromadzeniu członków Tow. Łowieckiego podjęto myśl sprowadzenia kuropatw z krajów zachodnich, dla rozmnoży ich u nas, a w końcu, że nawet już wpłynęło kilka zamówień do Wydziału, — uważam za stosowne słów parę z mej strony dodać, jak niemniej ośmielam się podać radę inną, może praktyczniejszą i pewniejszą, bo nabytą z własnej praktyki. Kierując już od lat kilkunastu łowiectwem w państwie łańcuckiem myślałem ustawicznie o podwyższeniu jego, a względnie o jak najrychlejsze i jak najpewniejsze rozmnożenie zwierzyny, a więc i kuropatw i przyszedłem do przekonania, że ani zamykanie kuropatw na zimę, ani też zakupywanie ich zkądinąd do celu nie doprowadza. W pierwszym bowiem razie zanadto spasają się w zamknięciu, a więc i mniej jaj składają po wypuszczeniu, przyzwyczajają się do ludzi i mniej są dzikie i ostrożne, a w ślad za tem tem łatwiej dają się przez swych rozlicznych nieprzyjaciół prześladować i niszczyć, sprowadzone zaś, miejsca się nie trzymają, rozlatują się i tak samo, jak w pierwszym wypadku, mniej są płodne i ostrożne i tak samo łatwo przepadają i giną. Najlepiej tedy i największy jeszcze skutek przynosi zbieranie jaj, a szczególnie tych, które kuropatwa w niestosownych i narażonych miejscach złożyła i podsadzanie ich pod indyki lub kury. Parę razy sprowadzaliśmy nawet jaja kuropatw z zagranicy i tak samo niezły mieliśmy rezultat. Powyższe postępowanie ma szczególnie tę dobrą stronę za sobą, że tak wylęgnięte kuropatwy i wychowane miejsca tego już stale się trzymają i nie zmieniają pola, bo są młode i niema pomiędzy niemi starki, któraby je w inne miejsca wyprowadziła i zaraz na następną wiosnę rozbiwszy się na parki, zanoszą się w około i niedaleko miejsca swego wychowania. Od czasu, jak zbieramy swoje jaja kuropatwie i podsadzamy je pod indyki i kury, stan ich znacznie się podniósł, do czego naturalnie także przyczyniło się racyonalne żywienie ich w zimie, jak i tępienie rozmaitymi możliwymi sposobami lisów, tych najzaciętszych nieprzyjaciół kuropatw. *Włodzimierz Lewicki.*

Lwów 20 listopada 1897.

[Porażka lisów.]

Myszy a za niemi lisy spadły na Pokucie. Wszędzie ich w tym roku dużo, mimo, że już w lecie przy jamnikach

nie jedno gniazdo wybrano, a i uszczuto w jesieni nie mało. Teraz zmówiliśmy się na nie raz jeszcze i w ostatnich dniach przed naganką daliśmy im porządne cięgi. W Gwoźdźcu starym ubiliśmy 18 lisów, nazajutrz w Trofanówce 3 Tu i tam ubiliśmy nadto po kilka zajęcy na kuchnię i jednego rogacza. Trzeciego dnia w Chomiakówce w 50-morgowym lasku ubiliśmy w 10 strzelb 19 zajęcy i lisa. Tu lisów było mniej, bo już w październiku ubito na zasiadce 3, a z początkiem listopada przed naganką w jednym miocie padły również 3. *Leopold Łysakowski.*

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Dnia 23. i 24. z. m. odbyło się polowanie u p. Artura Zaremby w Porchowej. W rewirze „Dołżkiem" zwanym obok dzików było nader dużo sarn a w rewirze „Wadowa", graniczącym z lasami koropieckimi około 50 dzików. Zając znajdował się przeważnie w polu, dlatego, że silny wicher wypłoszył go z lasu. Zresztą, gdzie czarny zwierz i lis w knieji tam zajęcy zwykle mniej bywa. Polowano w 12-cie strzelb. Naganka liczna i odpowiednio prowadzona wyciskała dziki na linje, jednak pomimo dobrych i wytrawnych myśliwych dziki wyszły względnie nader szczęśliwie z tych krwawych zapasów, choć mnogo pokaleczonych. Wogóle podjęto 4 dziki, z tych trzy duże sztuki, rogaczy 9, lisów 10 i zajęcy 50, razem sztuk 73. Strzałów zaś padło około dwustu. *F. D.*

Dnia 3. listopada w dzień św. Huberta, patrona myśliwych i polowania, odbyło się w Lipniku u p. Zygmunta Łastowieckiego polowanie w 12 strzelb. W siedmiu miotach na 110 strzałów ubito 4 lisy, 3 rogacze i 45 zajęcy. Nadto młoda siuta w trwożnej ucieczce zabiła się sama uderzywszy łbem o buka. Ponieważ pora jesienna jeszcze była dosyć wczesna, przeto były jeszcze słonki, 6 widziano, a dwie były strzelane, jednakowoż bez skutku. Wieczorem w blaskach oświetlonych salonów przed oczami myśliwych przesuwały się rudle ładnych, dwunożnych sarenek pod postacią panien z okolicy, a po kilku wirowych tańcach i dwu mazurach niejeden z myśliwych zadających śmiertelne rany w knieji zwierzynie, sam przybrał na siebie rolę kapitalbocka i śmiertelnie raniony w salonowych miotach grotami Amora uszedł farbując do dalszych odstępów, by wyleczyć grotem nielitościwego Amora draśniętą komorę. *Kic.*

Dnia 6. listopada widziano podczas polowania z nagonką w lasach fundacyjnych winnickich 5 słonek. Jedna padła ubita czwórką — reszta poszła niestrzelana. Zabita sztuka była mała i nie bardzo oblana. *S. M.*

W dobrach Bachórzec, własność hr. I. Krasickiego, zastrzelono od 1/10 1896 do 1/10 1897 r.: rogaczy 12, zajęcy 76, kuropatw 67, słonek 5, przepiórek 7, chruścieli 4, krzyka 1, kawek 8, gołębi 4. Razem sztuk 184.

Szkodników: lisów 28, łasic 51, psów 10, kotów 62, jastrzębi 27, wron 163, srok 165. Gniazd szkodników wybrano 24, Polowanie w lesie (około 600 m.) odbywają się raz do roku. W zimie zwierzynie zadaje się pożywienie, szkodniki wraz z lisami tępi się przez cały rok.

Dnia 10. listopada odbyło się polowanie w 6 strzelb w Toustoługu w pow. tarnopolskim u p. Z. Mochnackiego, w lasku 77-morgowym. Na 52 strzałów padły 2 rogacze, 6 lisów i 24 zajęcy. W styczniu b. r. w tym samym lasku ubito w 5 strzelb 39 zajęcy. Sarny widziane wyszły nie strzelane z lasku.

W dniach 21., 22. i 23. października i 4., 5. i 6. listopada r. b odbyły się w dobrach ordynacyi Łańcuckiej polowania główne a to: 21. i 22. października i 4. i 6. listopada ubito na polach w 7 strzelb 303 zajęcy, 1703 bażantów, 15 kuropatw, 6 słonek i 2 różnej zwierzyny — razem 2029 sztuk; zaś 23. października i 5. listopada w lasach padło 42 lisów, 123 zajęcy, 8 rogaczy, 3 słonki, — razem 176 sztuk. Szczególnie dobrze udały się polowania w dniach 4. i 5 listopada, padło bowiem na polach 965 sztuk w jednym dniu bażantów i zajęcy, zaś w lasach w jednym dniu na rozkładzie było 30 lisów i kilkadziesiąt zajęcy i parę rogaczy. *Wł. Lewicki*, łowczy.

W dniu 29. listopada w Bałdowie w Królestwie u p. Wężyka odbyło się polowanie, na którem zabito 177 zajęcy, 20 kuropatw, lisa i cietrzewia. Królem polowania był p. Antoni Orzechowski.

W dniach 2., 3. i 4. b. m. odbyło się polowanie w lasach dóbr Skępe, w pow. lipnowskim. Strzelb było 12, z których padło w dniu pierwszym polowania 302 zajęcy, 2 bażanty i 10 kuropatw (do kozłów nie strzelano), w dniu drugim — 6 kozłów i 258 zajęcy, w trzecim (w 11 strzelb) 8 kozłów, 215 zajęcy i 3 kuropatwy. Razem ubito: 13 kozłów, 775 zajęcy, 2 bażanty i 13 kuropatw, a nadto jastrzębia niosącego kuropatwę już nadjedzoną. W polowaniu, oprócz pp. Zielińskich (gospodarzy) brali udział pp. książe Włodzimierz Czetwertyński, Dukszta, Borys Nieratow, August hr. Potocki, Wiktor Reszke, Bronisław Rzewuski, Szczepan hr. Tarnowski i Lucyan Wrotnowski.

W Szadku, w Kaliskiem, na polowaniu u p. Stanisława Doruchowskiego w 14 strzelb ubito 135 zajęcy. Królem łowów był p. Karol Korycki.

W Złotnikach Małych, w Kaliskiem u p. Zygmunta Doruchowskiego w 16 strzelb ubito 160 zajęcy. Królem łowów był p. Wojciech Wyganowski.

Z Wydziału Towarzystwa.

Dnia 11. grudnia br. odbyło się pod przewodnictwem wiceprezesa Towarzystwa p. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego posiedzenie miesięczne Wydziału Towarzystwa, w którem wzięli udział członkowie Wydziału, pp. hr. Juliusz Bielski, Goralczyk, Korytowski, Szczerbicki i dr. Szydłowski.

Po wysłuchaniu sprawozdania biura Towarzystwa o stanie funduszów, o przypuszczalnym preliminarzu na rok 1898 i o pewnych zmianach w urządzeniu biura, które powinny w dalszym ciągu przyczynić się do ulepszenia administracyi Tow. uchwalono przedewszystkiem rozesłać gotowe już odznaki członkom i delegatom. Następnie po dłuższej dyskusyi, w której zabierali głos wszyscy obecni członkowie Wydziału, uchwalono w sprawie podziału powiatów na rejony łowieckie, udać się do jednego z pp. delegatów w każdym powiecie, aby zaprosił swoich kolegów w powiecie na posiedzenie, na którem dokonanoby podziału powiatu na rejony i omówiono sposoby energiczniejszego załatwiania spraw pp. delegatom przydzielanych.

Omawiano następnie sprawę urządzenia balu łowieckiego. Po żywej rozprawie uchwalono, że bal ma się odbyć w pierwszych dniach lutego 1898 i zaproszono do komitetu ściślejszego pp. Korytowskiego, hr. Juliusza Bielskiego i dr Szydłowskiego, którzy w czasie jak najkrótszym mają kooptować i sprosić komitet obszerniejszy i wraz z nim zająć się bezwłocznie przygotowaniami do balu.

Obszerną dyskusyę wywołała sprawa sprowadzania żywych kuropatw i bażantów, podniesiona przez hr. Leopolda Starzeńskiego na ostatniem walnem zebraniu Towarzystwa łowieckiego, jak również podniesiona na obecnem posiedzeniu przez hr. Bielskiego sprawa sprowadzania żywych zajęcy, Biuro zawiadomiło Wydział o krokach już poczynionych w sprawie zapewnienia członkom swoim żywych kuropatw i bażantów, jak również o dalszych zamierzonych staraniach i zamówieniach które już do Wydziału wpłynęły. Postanowiono starać się o kuropatwy i o zające w tych okolicach, które pod względem klimatu i do naszych warunków są najwięcej zbliżone. Sprawę tę ma biuro Wydziału dalej jak najenergiczniej prowadzić.

Podania p. Hostońskiego, wynalazcy i producenta znanych pigułek przeciw chorobom u psów o subwencyę w formie pożyczki nie mógł Wydział z powodu braku funduszów przychylnie załatwić — jednakże na wniosek p. hr. Bielskiego postanowił stwierdzić w „*Łowcu*", że pigułki te, jak doświadczenia poczynione przez niektórych z obecnych na posiedzeniu członków Wydziału udowodniły, są bardzo skuteczne. Uchwalono także umieścić bezpłatny anons w „Łowcu" zalecający te pigułki.

Odpowiedzi redakcyi.

JWP. T R. w Batiatyczach. Dopiero w przyszłym numerze
WP. K. w Nuzzczu. Serdecznie dziękujemy.
WP. Z. w Tarnowie. Ceny kuropatw, bażantów i zajęcy po porozumieniu z hodowcami i dostawcami podamy w **Łowcu**, chcący prz eto je kupić odpowiednio do cen będą mogli uregulować swe zamówienia.

NADESŁANE.

Pewna bardzo poważna firma niemiecka, zajmująca się specyalnie handlem dzikich zwierząt, chce **zakupić pewną ilość żywych jeleni** na cele chowu — i w razie danym dostarczy sieci i t. p. potrzebnych materyałów, oraz ludzi wprawnych. Bliższych szczegółów o tej firmie udzieli chętnie JWP. Julian br. Brunicki w Podhorcach p. Stryj.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.